

Uczelniom potrzebny bat konkurencji

Polskie uczelnie są jednymi z bardziej skostniałych instytucji w kraju. To efekt długich lat, gdy politycy nie widzieli w nich problemu na tyle medialnego, by się nim zajmować

NAUKA | ARKADIUSZ RADWAN



POLSKIE SZKOLNICTWO WYŻSZE WYRAŹNIE CIERPI NA KRYZYS tożsamości. Niebezpieczeństwo takiego kryzysu jest w pewnym sensie immanentne dla funkcjonowania uczelni wyższych w ogóle. Wynika to ze swoistego szpąratu, do jakiego zmuszony jest współczesny uniwersytet rozpięty między dziedzictwem przeszłości a wyzwaniem przyszłości. Przy bliższym oglądzie konflikt między tradycją a postępem okazuje się jednak pozorny. Patyna i patos to jedynie forma tradycji. Treścią spuścizny uniwersytetów jest natomiast innowacyjność. Bo czy prawdziwymi spadkobiercami Izaaka Newtona są sadownicy albo nanofizycy? Czy tradycję Andrzeja Frycza Modrzewskiego kultywują przedsiębiorcy prowadzący szkołę jego imienia, czy jednak postępowi państwowcy i reformatorzy?

Oaza ancien régime. Dziś polskie uczelnie są jednymi z bardziej skostniałych i konserwatywnych instytucji w kraju, jakby ich godłem zamiast ksiąg, kluczy i koron stały się koleiny. Najwyraźniej kondycja szkolnictwa wyższego w Polsce przez długie lata nie była postrzegana przez polityków jako problem na tyle medialny i powszechny, aby stanowić obiecujący obszar budowania kapitału politycznego. Dogmat o „eksportowej” jakości polskiej nauki miał się dobrze; dodatkowo dobremu samopoczuciu rządzących sprzyjała imponująca ekspansja liczby studentów oraz rozkwit szkół niepublicznych, w których notabene bezpieczną przystań znalazło wielu byłych bądź chwilowo nieczynnych polityków. W konsekwencji zaniechano poważniejszych reform. Istotnym czynnikiem hamującym była również okoliczność, że działania reformatorskie naruszyłyby doraźnie interesy stosunkowo precyzyjnie zdefiniowanej grupy społecznej, podczas gdy ich skutek pozytywny byłby odczuwalny dopiero w dłuższym horyzoncie czasowym i dotyczył bardziej rozproszonych interesów.

Oprócz trudniej definiowalnej grupy beneficjentów problemem jest również ich ograniczona zdolność oceny – społeczna percepcja polskiego szkolnictwa wyższego jest znacznie lepsza niż jego rzeczywisty stan.

Edu-kombinat. Szansą na rozwój konkurencji w szkolnictwie wyższym było powstanie licznych uczelni prywatnych. Warunkiem konkurencji jest jednak działanie na tym samym rynku. Tymczasem uczelnie państwowe dysponujące własną infrastrukturą i dotacjami budżetowymi oraz możliwością pobierania czesnego od znacznej liczby studentów niestacjonarnych od początku miały uprzywilejowaną pozycję wobec prywatnych. Popyt na usługi edukacyjne przewyższał podaż miejsc na studiach nieodpłatnych. Doprowadziło to do segmentacji rynku na edukację odpłatną i nieodpłatną. Co więcej, nabór studentów na uczelniach prywatnych pochodził zazwyczaj z selekcji negatywnej, co obciążało ich reputację i pogłębiało segmentację rynku.

Działając w takich warunkach, uczelnie niepubliczne musiały ograniczać koszty i bazować na kadrach, a częściowo także na infrastrukturze uczelni publicznych, co było przejawem pewnego rodzaju „pasożytnictwa”. Powszechne stało się zjawisko wieloetatowości kadry, co pogłębiło erozję dydaktyki i egzaminowania, nie wspominając już o działalności badawczej. Zamiast efektywnie konkurować z placówkami państwowymi, uczelnie prywatne stały się w większości przypadków wehikułem do obchodzenia konstytucyjnego zakazu pobierania opłat za studia. Popyt na usługi edukacyjne był dodatkowo sztucznie kreowany poprzez niereczkonalne ustawy-wo obejmowanie obowiązkiem posiadania wyższego wykształcenia coraz szerszych grup zawodowych. W ten administracyjny sposób zapewniono stały dopływ „surowca” do „edu-kombinatów”, niezależnie od rokowań co do jakości uzyskiwanego „produktu finalnego”.

Opisany mechanizm nie oddaje oczywiście całości prawdy o uczelniach niepublicznych, kilka placówek kierowanych przez kompetentnych wizjonerów zyskało uznanie i może szczerzyć się sukcesem osiągniętym mimo niesprzyjających warunków systemowych. Nie zmienia to jednak ogólnego obrazu.

Gdzie nas nie ma, czyli gdzie jesteśmy? Cena zaniechania reform i błędów regulacji jest wysoka. Z jednej strony zaprzepaszczono szansę na stworzenie systemu sprzyjającego powstawaniu zdrowych instytucji prywatnych, z drugiej zaś istniejące placówki państwowe nie zostały poddane istotnej presji konkurencyjnej, która zmusiłaby je do restrukturyzacji. Publiczne szkoły wyższe mogły dzięki temu w większości zachować dotychczasowy ustrój będący swoistą hybrydą systemu kastowego, feudalnego i socjalistycznego.

Rezultaty są alarmujące – raporty Komisji Europejskiej, OECD oraz międzynarodowego rankingi pokazują, że od światowej czołówki dzieli nas przepaść. Wśród stu najlepszych uczelni europejskich nie ma ani jednej polskiej. W rankingach globalnych najlepsze polskie uczelnie okupują zazwyczaj miejsca w czwartej

bądź piątej setce, czyli doły tabeli; reszta krajowych placówek w ogóle nie mieści się w Top-500. W tym stanie rzeczy nie może dziwić – choć powinna skłaniać do refleksji – okoliczność, że nie mieliśmy nigdy na polskiej uczelni żadnego noblisty „naukowego” (nauki ścisłe + ekonomia)! Wprawdzie cieszy znaczący wzrost liczby szkół wyższych i studentów w latach 1990–2007 (odpowiednio cztero- i pięciokrotnie) oraz współczynnika skolaryzacji na poziomie wyższym (wzrost z 12,9 do 49,9 procent), jednak musimy mieć świadomość, że zdecydowana większość studiuje na bardzo przeciętnych bądź wręcz słabych uczelniach – państwowych i niepaństwowych. Wzrostowi liczby studentów nie towarzyszył adekwatny wzrost kadry naukowo-dydaktycznej, nie odnotowano też wzrostu udziału produktów wysokiej techniki w polskim eksporcie, od dawna utrzymuje się on na bardzo niskim poziomie rzędu około trzech procent.

Słynne już „panie z dziekanatu” czy tolerancja dla nieuczciwości przy egzaminach – to, co bywa postrzegane jako uczelniany folklor, jest w istocie wypaczeniem postaw i pełzającym lamaniem charakterów. Nierzadko wiele do życzenia pozostawiają również popularne formy dydaktyczne – przykładowo wykłady w formie monologów były uzasadnione w okresie niedostępności podręczników, gdzie piszący reprodukowali ręcznie rzadkie informacje. W dobie Internetu i wobec bogactwa literatury wykład w takiej postaci to cofnięcie się do czasów sprzed Gutenberga. Arytmetyczne przyspieszenie przyrostu wiedzy zmusza do odstąpienia od systemu nauczania bazującego głównie na opanowaniu pamięciowym na rzecz promowania umiejętności podstawowych, zagadnień warsztatowych oraz samodzielności myślenia i gotowości ciągłego uczenia się. Przemodelowanie metod i treści dydaktycznych oznaczać jednak będzie dla kadry naukowej „przeceń” posiadanego kapitału – w ślad za wzrostem wymagań powinny zatem pójść wyższe środki na wynagrodzenie dla tych, którzy sprostają podwyższonym kryteriom.

Niewidzialna ręka w gipsie. Poprawa jakości oraz dostępności do edukacji wyższej wymaga przede wszystkim zmiany zasad finansowania szkolnictwa wyższego. Obecny konstytucyjny zapis o bezpłatności studiów w połączeniu z numerus clausus miejsc dostępnych na studiach bezpłatnych doprowadził do dyskryminacji przy podziale środków – dla rzesz uczących się na studiach odpłatnych konstytucyjna gwarancja darmowych studiów wyższych pozostaje fikcją. Jak pokazują statystyki, ofiarami tego systemu są zwłaszcza dzieci z rodzin uboższych i spoza dużych ośrodków miejskich. Oprócz argumentu sprawiedliwościowego równie ważny jest argument systemowy – wprowadzenie przynajmniej częściowej odpłatności



za wszystkie studia doprowadzi do większej konkurencji między uczelniami publicznymi i niepublicznymi.

W Stanach Zjednoczonych to właśnie konkurencja między szkołami prywatnymi i publicznymi doprowadziła do tego, że współcześnie amerykańskie uczelnie dominują w elicie światowych uniwersytetów. Lokomotywą reformy finansowania szkolnictwa powinno być wprowadzenie bonów edukacyjnych możliwych do realizacji w wybranej szkole wyższej – czy to publicznej, czy niepublicznej. Zwolennikiem bonów jest chociażby słynny noblista Gary Becker. Dzięki bonowi edukacyjnemu uzyskuje się prosty mechanizm, w którym pieniądze idą za studentem. Uczelnie, konkurując o studenta, muszą dbać o jakość. Dodatkowo taki system przyczynia się do większego upodmiotowienia studenta.

Konieczną przesłanką konkurencyjnego rynku jest poprawa transparentności oraz zdolności oceny dostępnych usług edukacyjnych. W przeciwnym wypadku zajdzie niebezpieczeństwo zjawiska bliźniaczego dla mechanizmu „ryнку gratów” (market for lemons) opisanego w 1971 roku przez innego noblistę George’a Akerlofa. Akerlof analizował rynek używanych samochodów pod kątem przetwarzania przez potencjalnych klientów informacji o ich jakości. W przeciwieństwie do nabywców samochodów niedoinformowany konsument krajowych usług edukacyjnych zakłada zazwyczaj wysoką jakość produktu, dzięki czemu rynek wprowadzić nie zanika, ale znacząco spada presja konkurencyjna. Efekt jest podobny do tego z modelu Aker-

REKLAMA

lofa – jakoś nie jest adekwatnie premiovana zwiększonym popytem bądź ceną, co redukuje zachęty do inwestycji w jakość, psując w ten sposób rynek.

Niska świadomość konsumenta usług edukacyjnych wynika ze specyfiki branży. Oferta jest kompleksowa, a informacja o usłudze stosunkowo uboga. Wywiad środowiskowy często zawodzi – trudno bowiem znaleźć obiektywne źródło informacji. Ci, którzy sami nie studiowali, nie mają własnych doświadczeń; studium oraz absolwentem brak odniesienia porównawczego albo też wykazują tendencję do redukcji dysonansu poznawczego, który wystąpiłby w momencie przyznania się przed sobą do ukończenia słabej uczelni; w końcu nauczyciele akademicy mają naturalną motywację do utrzymywania pozytywnego wizerunku akademii.

Rankingi przygotowywane zwłaszcza przez krajowe czasopisma mają ten mankament, że bazują na ekspertach, którzy zazwyczaj sami są częścią ocenianego systemu. Sprowadzają się do plebiscytów renomy. Dopiero niedawne anonimowe ankiety przeprowadzone przez Komitet na rzecz Rozwoju Nauk w Polsce ujawniły oplakaną kondycję systemu.

Jest miejsce do stworzenia lepszego systemu oceny i pozycjonowania wyższych uczelni. Wobec niedostatecznego zakorzenienia kultury peer review* w Polsce byłoby ze wszech miar godne rozważenia podjęcie się przez ministerstwo roli patrona i fundatora takiej inicjatywy. Ważne jednak, aby zaangażowano weń także ekspertów zagranicznych, którzy wniesliby do jej pracy dystans, niezależność i doświadczenie komparatywne. Ważne też, aby jako wartość referencyjną uwzględnić w rankingu kilka dobrych uczelni zagranicznych.

Etos na etapie. Uczelnie tworzą przede wszystkim ludzie. Niewątpliwie trudna politycznie, prawnie, technicznie, a często i etycznie byłaby weryfikacja obecnych pracowników uczelni. Jako obiecujący plan minimum można rozważyć koncentrację reformy na kilku-, kilkunastu placówkach, które zostałyby poddane projektowi pilotażowemu. Jest to postulat w dużej mierze zbieżny z ideą powołania tak zwanych uczelni czy wydziałów „flagowych”. Zreformowani liderzy byłiby zdolni rozciągnąć z czasem skalę oceny jakości placówek, co stanowiłoby kolejną podporę dla konkurencyjnego rynku. Filarami tego projektu powinny być: (1) przyjęcie nowego modelu ustrojowego (governance) uczelni oraz (2) stworzenie mechanizmów umożliwiających rotację i import kadry, również z zagranicy.

Trwający od dawna exodus najzdolniejszych młodych talentów za granicę to nie tylko problem uposażenia – to w dużej mierze również problem quasi-feudalnych stosunków panujących często na polskich uczelniach. Powrót do kraju nierzadko oznacza dla naukowca utratę statusu i ograniczenie możliwości zdyskontowania na miejscu zdobytych w świecie doświadczeń i kompetencji. Jego paralela niech będzie wyobrażenie sytuacji, w której klub polskiej ekstraklasy proponuje rodakowi grającemu w Premier League czy Bundeslidze mniejsze pieniądze, ciasne buty i – co najgorsze – miejsce w drużynie trampkarzy. Dlatego trudno się dziwić, że

spośród najlepszych wracają tylko patrioci i idealisci. Chodzi nie tylko o eliminację formalnoprawnych przeszkód dotyczących choćby uznawania kwalifikacji zdobytych za granicą, ale również o przełamanie istniejącej praktyki. Niezależnie od tego pogłębionej analizie wymaga problem modelu i ścieżki zawodowej pracowników nauki, w szczególności takie zagadnienia jak: ewaluacja, promocja, motywowanie, wynagradzanie, usualność, odpowiedzialność, rotacja i mobilność. W szczególności warto rozważyć wprowadzenie systemowego mechanizmu „przecięcia pępowiny” poprzez uzależnienie otrzymania wyższych kwalifikacji od opuszczenia macierzystej uczelni. Należy również pilnie pochylić się nad obecnym systemem promocji i awansu. Nie tracąc z oczu zalet utrzymania habilitacji, należy zwrócić uwagę na jej mankamenty. W warunkach obowiązywania formalnych reguł akredytacyjnych oraz uprawnień do wykonywania poszczególnych zadań akademickich uczelnie zostają zmuszane do „skupowania” tytułów naukowych zupełnie w ode-

peer review – rodzaj recenzji zakładającej, że wydający opinię to osoby mające wiedzę z danej dziedziny. Zakłada anonimowość i niezależność recenzentów

rwaniu od jakiegokolwiek wartości merytorycznej i dydaktycznej posiadających jej osób. W ten sposób z jednej strony człowiek staje się dodatkiem do tytułu, z drugiej zaś ów tytuł pełni funkcję dożywnego posagu oraz immunitetu – posagu, od którego można odcinać kupony, i immunitetu chroniącego przed koniecznością stałego spełniania wysokich standardów fachowych, zawodowych i etycznych.

Ustrój. Konieczne jest zrewidowanie istniejącego systemu zarządzania, czyli wewnętrznego ustroju uczelni. W miejsce biurokratycznych barier utrudniających cenne inicjatywy (ex ante) potrzebna jest decentralizacja i rzetelna ewaluacja (ex post). Należy rozważyć ewolucję w kierunku menedżerskiego modelu zarządzania uczelnią. Nie oznacza to jednak komercjalizacji uczelni w znaczeniu prymatu wyniku finansowego – raczej prymatu maksymalizacji kapitału intelektualnego. Osoba zarządzająca uczelnią musi posiadać faktyczną i instytucjonalną niezależność, tak aby mogła podejmować trudne decyzje personalne dla dobra uczelni. Gwarancje niezależności muszą zaczynać się już na etapie elekcji kandydatów. Dobrą praktyką będzie także powoływanie menedżerów w otwartych konkursach, w których pochodzenie kandydata z zewnątrz będzie jeśli nie konieczną przesłanką, to przynajmniej atutem. Jak bardzo z zewnątrz? Powiedzmy, że jeszcze do niedawna nie do pomyslenia było, aby trenerem polskich piłkarzy mógł zostać Holender... □

– doktor Arkadiusz Radwan, dyrektor think-tanku Centrum C-Law.org, szef Grupy 10+ prawników i ekonomistów z Europy Środkowo-Wschodniej, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, Friedrich-Schiller-Universität w Jenie i Hauser Research Scholar na New York University